



Fot. Wojciech/Surdziel/Agroja Gazeta

Gdyby prezydent był lekarzem

Głośnym echem odbiła się niedawna decyzja prezydenta o zawetowaniu dwóch ustaw reformujących polskie sądownictwo. Niektórzy oskarżyli nawet Andrzeja Dudę o zdradę swojego elektoratu i obronę „starego porządku”. Pani premier dała do zrozumienia, że prezydent uległ naciskom „ulicy i zagranicy” i bardziej zaufała „filozofom i prawnikom” niż zwykłym ludziom domagającym się zmian w wymiarze sprawiedliwości.

Ja jestem jednak skłonny uwierzyć w oficjalne tłumaczenie prezydenta, że jako prawnik był on w stanie ocenić przedstawione przez rząd ustawy w sposób merytoryczny i mógł sobie o nich wyrobić własne zdanie. Sytuacja, w której prezydent podpisujący konkretną ustawę może ocenić ją osobiście w sposób ekspercki, jest niezwykle rzadka. Prezydent zwykle nie zna się na materii ustaw, które podpisuje. Gdy ich autorem jest rząd wywodzący się z jego obozu politycznego, prezydent ufa, że rządzący wprowadzają dobre zmiany. Gdy

wodzi tego np. zmiana charakteru „ryczałtu” przydzielanego szpitalom. Zamiast zapowiadanego wcześniej sztywnego budżetu ryczałt ma być elastyczny, a jego wartość ma zależeć od liczby udzielonych świadczeń, co naśladuje dotychczasowy sposób finansowania. Rządzący przyznali w ten sposób, że nie można zrezygnować z ekonomicznych motywacji w działalności podmiotów leczniczych. Na tej samej podstawie oparty był pomysł, aby szpitale publiczne mogły udzielać odpłatnych świadczeń zdrowotnych, dorabiając do dochodów uzyskiwanych od publicznego płatnika. Pomysł co prawda odłożono, ale fakt jego pojawienia się dowodzi, że sami reformatorzy nie wierzą w możliwość utrzymania się szpitali wyłącznie z pełnienia misji.

Pozorny charakter ma też zmiana w postaci wprowadzenia sieci szpitali. Ta skomplikowana operacja przyniosła w efekcie wyeliminowanie zaledwie kilku procent szpitalnych łóżek z „automatycznego” finanso-

„Nie każda zmiana złej sytuacji jest zmianą na lepsze, może być też zmianą na gorsze lub niezmienną *de facto* niczego”

rząd jest utworzony przez konkurencyjne ugrupowanie, prezydent uznaje, że ostateczna odpowiedzialność za ustawy i tak spada na rządzących, więc też z reguły ich nie wetauje, z nielicznymi wyjątkami.

Nic więc dziwnego, że prezydent Duda podpisał niedawno „w ciemno” cały szereg ustaw, które – jak twierdzi rząd – reformują publiczną ochronę zdrowia. Uwierzył pewnie w argument, że skoro Polacy powszechnie krytykują publiczne leczenie, to rządowa reforma jest dobra i potrzebna. Nie przyszło mu nawet do głowy, że – podobnie jak w przypadku sądownictwa – nie każda zmiana złej sytuacji jest zmianą na lepsze, może być też zmianą na gorsze lub niezmienną *de facto* niczego.

Gdyby prezydent był lekarzem, bez trudu zauważyłby, jak pozorne są zmiany wprowadzane przez rząd. Jeszcze nie doszło do ich pełnej realizacji, a już widać, że więcej w nich ideologii i pustych haseł niż rzeczywistej zmiany. Mrzonką okazała się główna idea reformy, czyli rezygnacja z ekonomizacji służby zdrowia. Do-

wania ze środków publicznych, a i tak ogromna większość z nich uzyska ostatecznie to finansowanie w wyniku „konkursu ofert”, a nawet aneksowania umów (co zapowiedziały niedawno niektóre oddziały NFZ).

Nie wprowadzono jeszcze w praktyce tzw. koordynowanej opieki zdrowotnej, ale wiadomo już, że chociaż przedstawiano ją jako zmianę „ustrojową”, sprowadza się ona w zasadzie do zmiany definicji „produktu” kupowanego przez publicznego płatnika. Podobnych zmian było w ostatnich kilkunastu latach bez liku.

Gdyby prezydent był lekarzem, zapewne zauważyłby wszystkie szczegóły i zależności, o których wspominałem wyżej. Być może zawetowałby wtedy ustawy, które wprowadzając wiele zmian, *de facto* pozostawiają wszystko po staremu, zwłaszcza głębokie niedofinansowanie publicznego leczenia – bodaj najważniejszą przyczynę jego fatalnego stanu. Chociaż... Mielśmy już premiera lekarzkę i nie pomogło to publicznej służbie zdrowia. ■